

Piotr Guzy

Stan wyjątkowy

Piotr Guzy

Stan wyjątkowy



© Copyright by Piotr Guzy

Wydawnictwo Nowik Sp. j. , 45-061 Opole, ul. Katowicka 39/104

Wydanie II, Opole 2015

ISBN: 978-83-62687-81-7

Opracowanie redakcyjne: Łukasz Sawicki

Skład i łamanie: Wydawnictwo

Projekt okładki: Michał Nowik

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Rozpowszechnianie bez zgody Wydawcy całości publikacji lub jej fragmentów w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Kopiowanie metodą kserograficzną, fotograficzną, umieszczanie na nośnikach magnetycznych, optycznych i innych narusza prawa autorskie niniejszej publikacji.

Kserowanie zabija książki!

Szanowny Czytelniku, jeżeli chcesz wyrazić swoją opinię na temat tej publikacji, prosimy o kontakt mailowy matma@nowik.com.pl lub wypełnienie formularza na naszej stronie www.nowik.com.pl

Wydrukowane w Polsce

Szczegółowe informacje o naszych publikacjach na www.nowik.com.pl

Dystrybucja:

Wydawnictwo Nowik Sp. j. Biuro Handlowe:

45-061 Opole, ul. Katowicka 39/104

Tel./fax 77 454 36 04

<http://www.nowik.com.pl> e-mail: biuro@nowik.com.pl

CZEŚĆ PIERWSZA

1 listopada 1947

Prędeż! uciekajmy stąd, żeby, jak tu przyjdą, Kazio! Helena! gdzież oni się wszyscy znowu podziali? Leon! Jurek! chodźcie już, Leon! gdzie Leon? Stefan, zobacz, gdzie on? o Boże, no już, już, zabierajmy się stąd, żeby, jak tu przyjdą, jak zaczną walić do drzwi, znowu dzień, jeszcze jedną noc, chwała Bogu, się przeżyło, światło przez firany, czas leci, tak dzień po dniu, przeszło pięćdziesiąt lat, starość teraz, ciągle zmęczona, za wcześnie się budzę, dopiero w grobie chyba sobie odpocznę, chociaż nie powinnam narzekać, żyję przecież, tamtych już nie ma, pozabijali, chłodne ranki teraz, zima wkrótce, przyszli, zabili wszystkich, śniegi spadną, przed wojną to zawsze gdzieś, do Krynicy, do Zakopanego, sankami do hotelu, mróz szczypał w policzki, śnieg z ziemi bił w oczy roziskrzoną białą, aż bolało, Stefan przyciskał mnie mocno do siebie, na twarzy czułam jego oddech, mieszaninę tytoniu i koniaku, a z Pawłem Fiodorowiczem wtedy w Kijowie, rzeczywiście, akurat rozruchy na ulicy, kozacy na koniach, nahażkami ludzi po głowach, Paweł Fiodorowicz zaśmiał się uspokajająco, oddech mu pachniał mieszaniną tytoniu, koniaku i czarnej kawy, dlatego to mi się przypomniało, Nie trzeba się bać, powiedział, nam nic nie zrobią, ale gdybym nie była na czas szarpnęła się do tyłu, kamień we mnie by trafił, o mało z siedzenia nie

spadłam, *Dlaczego weszłaś do pokoju bez pukania? wyraźnie ci zabroniłam, tatuś musi teraz dużo odpoczywać i nie wolno mu przeszkadzać*, przez długi czas nie wiedziałam, od czego te sine pręgi na plecach, dopiero później, kiedy Łaszczuka przywieźli na furmance z cyrkułu, o własnych siłach nie potrafił jednego kroku zrobić, tak go zbili, to ten policmajster Wodejko, jakieś papiery, mówił, przy nim znaleźli, pobiegłam tam, leżał na łóżku, Tekla maczała ręcznik w ciepłej wodzie, przemywała mu plecy, zauważyła, jak weszłam, odwróciła ku mnie głowę i coś w jej spojrzeniu było takiego, że bez słowa zrozumiałam, że muszę odejść, ich sprawy, według nich nie miałam nawet prawa okazywać im współczucia, to było dla nich obelgą, potem mówili, że oni nas nienawidzili, czy ja wiem? bo dziś gdy wspomnę, ci co jeszcze żyją? człowiek nigdy nie godzi się z myślą, że przyszłość może być gorsza niż teraźniejszość, a co z nimi zrobił Stalin? no tak, ale to dopiero miało nadejść, potem ciągle te plecy, przez całe lata, zapadałam w sen z gmatwaniną sinych szram, nabrzmiałości brzydkich, pod powiekami, gdy wreszcie się zdobyłam na odwagę zapytać go o te blizny, odpowiedział, Mnie bili? kto bił? gdzie? kiedy? Tatuś wie, Rosjanie, gdy tatuś, gdy tatusia wzięli na zesłanie, Jesteś za młoda, żeby te sprawy pojąć, jak podrośniesz, o wszystkim ci opowiem i wytłumaczę, rodzicom zawsze się wydaje, że dzieci należy chronić przed prawdą, zbyt okrutna dla nich, światło przez firany, znowu dzień, sen nie przynosi mi już prawie żadnego odpoczynku, za dużo się nażyłam, duchy moich umarłych nie opuszczają mnie nigdy, trwam w świecie umarłych i w świecie żywych, ani tu, ani tam całkowicie, rozerwana, skłócona ze sobą, bez przerwy grzebię w pamięci jak w kupie rozrzuconych klocków, z których chciałoby się sklecić logiczną całość, lecz wszystko się ciągle na nowo rozsypuje, beznadziejny mózół, wkrótce umrę,

ale śmierć też niczego nie załatwia, wszystkiemu tylko kładzie nagły kres, a jak można stąd odejść, zostawiając za sobą tyle nierozwiązanych spraw, niezagojonych krzywd, nieodpokutowanych grzechów? to łóżko, za duże dla mnie jednej, Stefan, on tu powinien leżeć obok mnie, dlaczego go tu nie ma? *Pani tam nie powinna jeszcze wracać, te wszystkie trupy, krew na podłogach, niech pani poczeka, aż wszystkich poznoszą do jednego pokoju, poprzykrywają czymś, za wszystko trzeba płacić, pewnie, ale za co oni zapłacili taką cenę? on powinien leżeć tu przy mnie, nie tam w grobie, gdzie już proch z niego, nic, grzać mnie swoim ciepłem, żebym na karku czuła jego oddech, żeby jego dłoń obejmowała moją teraz już zwiędłą pierś, nie chciał tych piersi, wstrętnam mu była, stara, zniszczona, mróz szczypał w policzki, śnieg z ziemi bił w oczy roziskrzoną bielą aż bolało, przyciągnął mnie do siebie, rozchylił kołnierz futra, pocałował, oboje wiedzieliśmy, że jak tylko przekroczymy próg hotelowego pokoju, jak tylko zostaniemy sam na sam, potem jechaliśmy windą, Stefan trzymał mnie za łokieć, milczeliśmy, nie patrząc na siebie, kilka kroków korytarzem, drzwi, pokój, szerokie łóżko zarzucone czerwoną kapą, służący postawił walizki, wyszedł, Stefan, cały czas, nie puszczając mi łokcia, sterował mnie w stronę łóżka, posadził na brzegu, puścił, przewrócił na plecy, rozpiął mi futro, nie chciał mnie, nie chciał moich piersi starych, zwiędłych, tak mi dobrze było, gdy go ściszałam mocno ramionami, nogami, gdy czułam, jak się tam we mnie szamoce, jak się rozpycha we mnie, w swojej Wisi, bo mnie chciał, bo mnie musiał wziąć, bo beze mnie już jednej chwili dłużej nie mógł wytrzymać, bo byłam dla niego wszystkim, bo mnie kochał i potrzebował jak wody i powietrza, i jak tylko zamknęły się drzwi za służącym, to on zaraz, i cóż z tego, że potem mnie rzucił? on mnie w niej szukał, takiej, jaką byłam w tym hotelowym pokoju w Zakopanem,*

w futrze, w rękawiczkach pchnięta przez niego na łóżko, z topniejącym śniegiem we włosach, drogi powrotnej do naszej wspólnej młodości szukał, bo jeszcze wówczas nie przyjął do wiadomości skazującego wyroku naszych lat, buntował się, zlorzeczył umykającemu czasowi, *Ależ skąd, Stefan, wcale się na ciebie nie gniewam, ja wszystko rozumiem, najważniejsze, że znowu jesteś*, a gdyby nie był wrócił do mnie, gdybym go była zostawiła w spokoju, to może dzisiaj by jeszcze żył, no tak, gdybym tylko mogła przewidzieć przyszłość, *Niech go pani sobie zatrzyma, jeśli pani potrafi mu dać więcej szczęścia niż ja*, wcale bym się nie sprzeciwiała, los tak chciał, ja cierpię, to nie, za to on, żeby tylko on był szczęśliwy, nieprawda, żeby był szczęśliwy, tak, ale ze mną! ja byłam wtedy gotowa butelkę kwasu pruskiego wylać jej na twarz, żeby się musiał od niej odwrócić ze wstrętem, *Teraz spójrz na siebie do lustra, co ci teraz z twojej młodości?* nie, też nie, jej nie winię, ale on, od czego on miał rozum? zresztą, wstyd! młodsza od jego własnych dzieci, jeszcze sobie sama nosa utrzcć nie potrafiła, żadnego poczucia odpowiedzialności za swoje czyny, żadnego liczenia się ze skutkami, jakie jej nieodpowiedzialne, tak jest, tak powiedziałam, jej nieodpowiedzialne postępowanie, *Niech pani nie zaprzecza! i proszę mi nie przerywać, nie po to tu przyszłam, żeby mi pani teraz*, żadnego, ale to absolutnie żadnego liczenia się ze skutkami, jakie jej bezwzględne, samolubne i nieodpowiedzialne postępowanie może wyrzucić na innych! bo jej się spodobał! co za dziecinada! to jeszcze nie powód, żeby rozbijać rodzinę, przecież wiedziała, że ma żonę, dzieci, *Pięcioro dzieci, tak, proszę panią, pięcioro dzieci!* to pani o tym nie wiedziała? *niech pani przynajmniej teraz nie kłamie, bo Stefan nie taki, żeby podobną rzecz ukrywał*, zresztą, jeśli tak mocno go kochała, to dlaczego nie starała się go zatrzymać? niech mi odpowie na to pytanie! palcem w bucie

nie kiwnęła, żeby go przy sobie zatrzymać, byłby jeszcze dziś żył, kto wie, na starość do mnie by wrócił, na pewno, prędzej czy później ona by go kantem puściła, byłby dla niej teraz tylko ciężarem, wróciłby do mnie, słowa bym przeciwko niemu nie powiedziała, przyszedł do mnie, oczywiście, że przyszedł do mnie, a gdzie miał iść? do kogo? trzeba myśleć o wstawaniu, już chyba czas, długo nie wiedziałam, od czego te pręgi na plecach ojca, dopiero później, kiedy Łaszczuka przywieźli z cyrkułu, a mama mówiła, Twój tatuś wiele przez te lata, kiedy go nie było z nami, przecierpiał, teraz musimy mu zapewnić spokój, nie trzeba mu się z byle czym naprzykrzać, ja też, jak dziś pamiętam, gdy Stefan wrócił wtedy z Gestapo, też Helenie i Kaziowi przykazywałam, Wasz tatuś jest chory, musicie mi przyrzec, że nie będziecie go molestowali, nie będziecie hałasowali po całym domu, prawie identyczne słowa, tak to się powtarza w tym kraju z jakąś piekielną regularnością z pokolenia na pokolenie i każde pokolenie po kolei się łądzi, że jego cierpień starczy już na wszystkie czasy i nigdy więcej, ale temu nigdy nie ma końca, zawsze żyjemy w stanie wyjątkowym, ledwie jedne rany się zagoją, ledwie człowiek trochę odzypnie, już jakaś nowa zawierucha, trzeba będzie powoli się ruszyć, Weronika już wstaje, tylko żeby mi Heleny nie zbudziła, ta dziewczyna wczoraj znowu na pewno późno wróciła, nie wiem, co się z tym dzieckiem dzieje, z nią nawet rozmawiać nie można, o tak, ja wiem, co ona by chciała, tylko jej we wszystkim ustępować, na nic jej nie zwrócić uwagi, nie pouczyć, że źle zrobiła, że tak się nie powinno, a jeśli w rodzinie się tego nie nauczy, to gdzie? zawsze chciałam dla niej najlepiej, martwię się o nią, nocami nie sypiam, czekam, kiedy wróci, kiedy ona i to ma mi za złe, Czego się mama martwi? mam głowę na karku, krzywdy sobie nie dam zrobić, tak, każda tak mówi, a potem jak co, to już za późno, cóż to,

nie wiem, jak to jest? jeszcze długo, zanim pozna, co to jest życie. – Proszę, niech Weronika wejdzie.

– Dzień dobry. Przyniosłam herbaty. Pani mecenasowa po tych wczorajszych smutkach też chyba wiele nie spała. Ja to prawie oczu nie zmrużyłam, nic, tylko ta biedna Karasiowa mi w myślach.

Karasiowa, prawda, zupełnie o niej, jak to jest możliwe, żebym tak zupełnie o niej zapomniała, żeby ani jednej myśli?

– Taki cios! Jak ona to przeżyje? A przy tym w ciąży.

– Czyżby? – *Niech tatuś tam teraz nie wychodzi, niech tatuś poczeka, aż się trochę rozwidni, to wtedy*

– Nie wierzy mi pani? Cóż to, nie poznam? I urodzi się to dziecko bez ojca. Że też kary boskiej na nich nie ma. Zawał serca, a jużci, taki młody człowiek! Już jak oni kogoś zawloką do siebie, to tylko się modlić, żeby śmierć miał krótką, przynajmniej się nie będzie męczył. Zakatowali go i już. To dla nich wielka rzecz zniszczyć człowieka? Co to jest dla nich człowiek?

Niech tatuś tam teraz nie wychodzi, niech tatuś poczeka, aż się rozwidni, nie mówiliśmy mu? wszyscyśmy mu mówili, no więc cóż, że hałasowali, że strzelali? czy wtedy znalazł się taki dzień, żeby się obyło bez strzelaniny? mama zapała się w drzwiach, Nie pójdziesz, nie wolno ci! zabiją cię, zobaczysz! nie jesteś sam, nie wolno ci się narażać, próbowała go przekonać, zaklinała go na wszystko, co mogła, Oni tylko czekają, żebyś się tam pokazał! to ją siłą odepchnął od drzwi, My tu z dziada pradziada i jeszcze nigdy żaden z Noworytów ogona przed nimi nie stulił, nie pozwolę, żeby mi po nocy raban pod oknami urządzali! mama złapała go za ramiona, Ślepy jesteś? nie rozumiesz, że tym razem to nie jest zwykła awantura, to już nie to, że oni sobie popili, pokrzyczą sobie, postrzelają, potem ich sen zmorzy a jutro rano znowu wszystko będzie jak dawniej, to jest rewolucja, cała Ukraina, cała Rosja, ale do

niego mówić to jak groch o ścianę, uparł się, nie widział, co się dzieje? w okolicy już dwory z dymem puszczały, wyrzynały całe rodziny, na co czekał? na cud, który miał sprawić, żeby nas to ominęło?

– No to zejść teraz do kuchni.

– Za piętnaście minut będę na dole. – Ta biedna Karasiowa, nawet wieka od trumny nie otworzyli, żeby mogła choć ostatni raz na niego spojrzeć, widocznie tak go zmasakrowali, a może go tam w trumnie w ogóle nie było, cegieł naładowali? oni dziś mają takie chemiczne sposoby, rozpuszczają człowieka jak pastylkę w szklance wody, wyleją do zlewu, tego nawet Niemcy jeszcze nie wymyślili, ja to przynajmniej wszystkich moich własnymi rękami włożyłam do trumien, krzyż, szkaplerz położyłam na piersiach, kwiaty u wezglowia, pójdę do łazienki, z tym pokojem na dole trzeba będzie coś zrobić, może sama nie będzie tu chciała zostać? ale to nigdy nie wiadomo, mnie też nakłaniali, Niech się pani stamtąd wyprowadzi, nie będzie pani musiała ciągle o tym myśleć, dlaczego nie miałabym myśleć? trzeba będzie coś z tym pokojem, bo skoro na kwaterunku się zorientują, że została w nim tylko jedna osoba, zaraz mi tu na siłę będą chcieli kogoś obcego wpakować, taki metraż, powiedzą, to na całą rodzinę, nie żeby jedna osoba, ona ma w Warszawie siostrę, niechby ją tu sprowadziła, zamieszkają razem, dlaczego nie? przynajmniej bym wiedziała, kogo mam w domu, woda coś letniawa, znowu w kotle nienapalone, będę musiała zajrzeć do piwnicy, już chyba niedużo węgla zostało z poprzedniego przydziału, wszystkiego muszę sama dopilnować, jak nie, to bałagan i skaranie boskie, Stanisława nie można uprosić, żeby trochę czasu poświęcił sprawom domowym, interesy! czy ja nie mam interesów? nikt o nic nie dba, wszystko na moich barkach, żarówka się przepali, bo to kto kupi nową? czekają aż ja, znowu te włosy!

codziennie, ile razy już jej mówiłam, Niech Weronika nie zostawia mi swoich włosów w umywalce, co za przyjemność po kimś sprzątać? czy ja naprawdę mam za każdym łązić, ciągle każdego upominać? przecież nie dzieci, żeby ich ciągle, niedobrze wyglądam, skóra, same zmarszczki, i taka poźółkła, stara jestem, ot co! dlaczego mnie wtedy nie zabili, tylko ich? gdybym nie była poszła do Sawińskich na brydża, *Mnie zabijcie! wam wszystko jedno, kogo zabijecie, sto razy mnie zabijcie, jeśli wam tego potrzeba, ale tylko mnie, przecież oni niewinni!* byłabym przed nimi padła na kolana, może Kazia przynajmniej by oszczędzili, bo co im takie dziecko zawiniło, żeby je zabijać? za co, no za co? *Haben Sie keine Mutter? przecież niewinni ludzie, za co ich chcecie zabijać? o litość was błagam, mnie zabijcie!* na kolana bym przed nimi, czubki butów bym im całowała, wyciągnęłabym do nich ramiona i błagałabym, błagałabym, tak bym błagała, o Boże, tak bym błagała, o Jezu, tak bym błagała! powiem jej, tego już jest za dużo, przyprowadzę ją tu, za rękę wezmę jak dzieciaka i pokażę, niech popatrzy, te włosy, te szumowiny na brzegach, to kto to ma czyścić, ja? proszę, niech sama zobaczy, proszę! proszę! nie wstyd jej tak mi zaświniac umywalkę? to jest kulturalny dom, ja nie pozwolę, żeby mi kto tak umywalkę, czy ja jestem od tego, żeby brudy po drugich sprzątać? nieprawda, że zrzędzę, bo wcale nie zrzędzę, w moim własnym domu już mi nie wolno nic powiedzieć? czubki butów bym im i błagała jako matka, *Haben Sie denn keine Mutter? haben Sie keine Mutter?* biedny Kazio, patrzeć w takiej chwili na swojego ojca, ten strach w oczach, to niezrozumienie, kiedy tamten wyciągał rewolwer, *Haben Sie keine Mutter? haben Sie keine Mutter?*

– O jejku, jejku! Znowu pani mecenasowa płacze, aż na dole słycać. Nie trzeba tak, trochę więcej litości dla siebie. Niech pani mecenasowa pozwoli, ja ręcznikiem, no już dobrze, popłakała pani sobie i teraz już spokój, dobrze?

– Bardzo Weronikę przepraszam. – *Twoja matka potrafiła mi przebaczyć, a ty nie potrafisz? a jakież to prawo ty sobie uzurpujesz, żeby własnego ojca*

– Za płacz się nie przeprasza. Płacz to jest dar od Pana Boga. Dopiero by źle było na świecie, gdyby nikt nigdy nie płakał, nic, tylko sznur na szyję i się powiesić.

– Jaka Weronika dla mnie wyrozumiała.

– Zwyczajnie nie chcę, żeby pani mecenasowa wszystkich w domu pobudziła. Pan Stanisław wstanie znowu z łóżka lewą nogą i przez cały dzień będzie piekło.

Odszedł z tego świata niepokodzony z własnym synem, obaj tak, jeden na drugiego wilkiem, całymi dniami jeden do drugiego ani słowa, a jak co, to od razu jak dwa wściekły psy, tylko by warczeli, kły na siebie szczyrzyli, do gardła by sobie skakali, *A jakież to prawo ty sobie uzurpujesz, żeby własnego ojca sądzić?* co między nimi zaszło? Jurek musiał się czegoś domyślać, ale jak? zawsze byłam ostrożna, żeby ani jednym słowem, żadnych aluzji, no nic, stało się, koniec, teraz tylko zapomnieć, a jednak musiał się skądś dowiedzieć, bo jak to sobie inaczej wytłumaczyć? jeszcze pół biedy, kiedy byłam w domu, przynajmniej w mojej obecności trochę się hamowali, ale tego dnia, a nie chciałam iść do Sawińskich, No co ci szkodzi, mówi Stefan, rozerwiesz się trochę, masz trzy godziny czasu, śmiało zdążysz z powrotem przed godziną policyjną, zupełnie nie miałam ochoty, tak mnie to niepokoiło, Stefan, a o co wam dzisiaj poszło? znowu kłóciliście się z Jurkiem, słyszałam, Co słyszałaś? W każdym razie tyle, żeby się domyśleć, żeście się kłócili, dlaczego te ciągle zatargi między wami? nawet jak patrzycie na siebie, to tak, jakbyście w następnej chwili mieli sobie skoczyć do oczu, przecież wy ze sobą nie potraficie zamienić dwóch słów po ludzku, tyle w każdym słowie ukrytego jadu, Wydaje ci się, Wisia, Nieprawda,

bo wyraźnie słyszałam, Może i uniosłem się trochę, ale zaraz to nazywać kłótnią? Dlaczego się uniosłeś? Głupstwo, nie ma nawet o czym mówić, Stefan, nie wiem, co między wami jest, ale idź do niego, załagódź jakoś sprawę, żebym mogła ze spokojnym sumieniem, i tak odszedł z tego świata niepogodzony z własnym synem, ach, mój Boże!

– Schodzi pani wreszcie czy nie?

– Idę, idę, tylko jeszcze torebkę. – Nie wiedziałam, co między nimi było, mój Boże, ja nie wiedziałam? Stefan też musiał wiedzieć, że ja wiem, nigdy nie mieliśmy odwagi z Jurkiem szczerze o tym porozmawiać, ja wiem, ja mu tego nie mam za złe, Stefan nie chciał rozdrapywać rany, ale mimo to, trzeba było, przecież to się ciągnęło kilka lat, to nie było zwykłe nieporozumienie między ojcem a synem, to była trucizna, która ich obu zabijała, przecież gdyby się był zwierzył ze wszystkiego przede mną, nie, ciągle jeszcze samą siebie oszukuję, ja wiedziałam, trzeba było powiedzieć, Stefan, słyszałam, o czym wtedy mówiliście z Jurkiem, porozmawiajmy z nim szczerze, powiedzmy mu, jak się sprawa miała naprawdę, chłopak inteligentny, zrozumie, przebaczy ci, nie można pozwolić, żeby ten jad, ja zawiniłam, bo jeśli Stefan nie miał w sobie tyle siły, żeby się przełamać i z sercem do niego, to ja powinnam była, Nie trzeba przed chłopcem niczego taić, żeby wiedział, żeśmy sobie przebaczyli, puścili w niepamięć to, co się stało i nie żyjemy do siebie urazy, wtedy i Jurek znalazłby dla Stefana przebaczenie w swoim sercu, właśnie, zamiast biegać do Sawińskich na brydża, trzeba było ich obu wziąć za kark, posadzić na krzesła, Tu, macie mnie wysłuchać, trzeba ten wrzód przeciąć raz na zawsze, bo tak dalej

– Już myślałam, że znowu będę musiała na panią mece-nasową wołać.

– Przecież powiedziałam, że już schodzę. – Tu, macie mnie wysłuchać, bo tak dalej być nie może, nie ruszę się z tego miejsca, dopóki nie podacie sobie ręki i nie oświadcycie tu przy mnie, żeście sobie przebaczyli i nie chowacie do siebie żalu, jak dwa rozjuszone psy krążyli jeden koło drugiego, szczerzyli na siebie kły, tylko czekali, żeby się na siebie rzucić, nie wolno mi było odchodzić, zostawiając ich na pastwę ich zranionej miłości, Tu, za kark i posadzić ich na krzesła, raz wreszcie trzeba z tym skończyć, nie odejdę stąd, dopóki się nie pogodzicie, byłam zmęczona, kłamstwo, nie miałam odwagi, moja własna rana jeszcze się ślimaczyła, ja mu nigdy naprawdę nie przebaczyłam, nie, też nieprawda, przebaczyłam, pewnie, że ślad jakiś został, ale cóż, człowiek, jak kocha drugiego, Idź, powiedziałam mu, idź do niego pierwszy, Stefan, załagódź to jakoś, wyciągnij do niego rękę na zgodę, tyle możesz dla mnie zrobić, nie możesz? przesadzam, powiedział, z igły robię widły, nie ma żadnej sprawy, żeby ją łagodzić, a co było? nic nie było? to co tak Jurka zżerało? – Niech Weronika mi poda moją laskę.

– Tylko proszę uważać, bo stopnie śliskie. W nocy był przymrozek. W powietrzu też coś takiego, że wcale bym się nie zdziwiła, gdyby jeszcze dzisiaj miał spaść śnieg.

– Bardzo możliwe. – Stefan powinien był jednak dobrze to sobie wszystko rozpatrzeć we własnym sumieniu, nie o mnie chodzi, bo cóż ja? ale dzieci, nie myślał o dzieciach? jak można się było dać tak przez tę dziewczynę zaczadzić? potem brnie taki jak przez ciemny tunel, niepomny na nic, co tam żona, dzieci, majaczy mu się, że czeka go na końcu jakieś cudo, jakiś raj – Niech Weronika mnie przytrzyma za łokieć, boję się sama przestąpić przez tę zamarznąętą kałużę. Mogliby tu wreszcie zrobić porządną drogę, nawet gdyby tylko żwirem wysypali. Kiedyś jeszcze upadnę i złamię sobie nogę, zobaczy Weronika. Ale co to kogo dziś obchodzi, że ludzie sobie tu łamią nogi?

– Jeszcze nikt, o ile mi wiadomo, nogi tu nie złamał.

– Ja złamię, Weronika zobaczy, któregoś dnia będziemy tędy szły i – Ja go nie potępiam, nigdy na jedną sekundę go nie potępiłam, to jest życie, ja wiem, jak to jest, dzień za dniem, rok za rokiem, i wszystko jest dobrze, zawsze jest jeszcze jutro, aż któregoś dnia człowiek po raz pierwszy naprawdę sobie uświadamia, że tego jutra może zabraknąć, i wpada w panikę, trzeba się bronić, a każdy broni się na swój sposób, nie, nie, ja go nie potępiam, sama wiem, jak to jest, patrzę do lustra, to mam być ja? ta maskara? i chciałoby się złapać za coś ciężkiego i strzaskać to lustro, lecz kogo tym oszukam? patrzę przecież na innych z mojego pokolenia i w ich twarzach, w ich coraz bardziej niedołączających ruchach widzę, jak nadchodzi moja własna śmierć, przed tym nie ma ucieczki, to jest właśnie życie. – Przyjemne to mroźne powietrze, Weronika nie uważa?

– Ma się na śnieg, zobaczy pani.

Sankami z dworca do hotelu, śnieg z ziemi bił w oczy roziskrzoną bielą, aż bolało, a tak mu pilno było, nie mógł się doczekać, ledwo służący postawił walizki, zamknął za sobą drzwi

– Czy Weronika nie czuje czasami żalu, że nigdy nie wyszła za mąż?

– Skąd też pani mecenasowej takie pytanie do głowy? źle mi to przy państwu było? Miałam wikt, opierunek, dach nad głową, czego mi więcej brakowało?

– No zawsze, mąż to jednak...

– Mnie tam nigdy bez chłopa markotno nie było. Pewnie, ja nie mówię, człowiek jest tylko człowiekiem, ale nie trzeba aż za mąż wychodzić, żeby tego miodu pokosztować.

– Też prawda, chociaż może nie bardzo po bożemu.

– Opowiada pani, Pan Bóg nie taki, żeby tej trochę radości miał ludziom mieć za złe. I tak wszystko na jego chwałę, może nie?